

W teatrze

Uwierzyć w anioły

Jeżeli ktoś chce zobaczyć aktorów, którym można klaskać godzinami, powinien wybrać się do toruńskiego Teatru im. Wilama Horzycy na „Anioły w Ameryce”. Tylko reżyserowi nie chce się klaskać z takim samym entuzjazmem.

To sztuka o życiu bez korzeni, o krętych drogach kariery, wybiórczej tolerancji, umieraniu, homoseksualistach i AIDS. Trudna do wystawienia. Napisana jest jak scenariusz filmowy: scena po scenie, z szybkimi zmianami. W teatrze daje to efekt następujących po sobie skeczów.

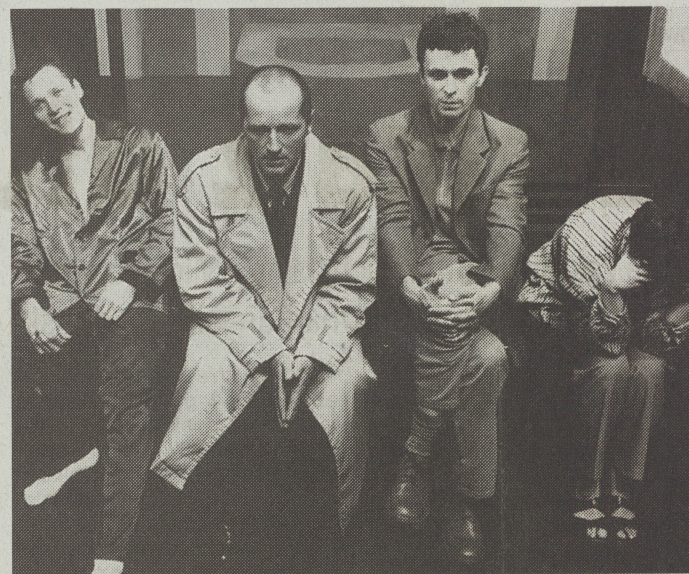
Temat niby nośny. Prior Walter, umierający homoseksualista, pozostawiony sam sobie, wije się na podłodze wśród duchów przodków zmarłych na zarazę. Jego chłopak, Louis, ucieka, bo nie może znieść choroby. Gdzieś w mieszkaniu na piętrze uzależniona

od leków Harper przeraźliwie boi się mężczyzn, którzy mogliby ukryć się w różnych zakamarkach domu. Ma cudowne halucynacje po dużych dawkach valium. Czuje się niekochana. Jej mąż, Joe, jest niespełnionym prawnikiem, który jednak ma szansę na pracę w Waszyngtonie. Warunek: musi uczciwość schować do kieszeni. I tak dalej.

Kłopot w tym, że widz wszystkie te tematy ma doskonale opanowane. Film nie pozostawił tu żadnej luki. I nie chodzi o to, że w teatrze nie da się nic więcej powiedzieć. Tylko trzeba mówić uczciwie. Jeśli patrzy się na aktorów

i trudno im uwierzyć, znaczy to, że coś jest nie tak. A aktorzy grają rewelacyjnie. Grają tak, że zaraz po spektaklu ma się ochotę podejść i zapytać: jak, u licha, pan/pani to robi?!

Więc nie chodzi o aktorów. Chyba raczej o to, że Marek Fiedor zdecydował się na skróty. Wyciął na przykład scenę, w czasie której Louis zdradza Priora z jakimś przygodnym facetem spotkanym w parku. Scenę, gdy Prior błaga Louisa, żeby nie odwoził go do szpitala. I tę, gdy mąż Harper dzwoni do matki i wyznaje, że jest homoseksualistą. Bez tych fragmentów burze mo-



Fot. WOJTEK SZABELSKI

Na zdjęciu: Prior - Sławomir Maciejewski, Joe - Michał Marek Ubysz, Louis - Paweł Kowalski i Harper - Karina Krzywicka

ralne, jakie przeżywają postacie wyglądają po prostu na mocno przesadzone.

Reszcie można tylko klaskać. Na przykład pomysłem reżysera na pokazanie halucynacji Harper. Albo scenografii i takiemu ustawieniu scen, dzięki któremu sztuka wygląda trochę mniej skeczowo. Scena podzielona została

szklanymi przegrodami. Powstało w ten sposób kilka pomieszczeń, w których akcja może się rozgrywać równocześnie.

No i aktorzy. Trzech jest takich, że dla nich samych można spędzić ponad dwie godziny w teatrze. Roya M. Cohn gościnnie gra Jacek Polaczek (prawnik

- to on proponuje nieczysty układ Joe, dzięki któremu ma otrzymać pracę w Waszyngtonie). Mówi głębokim głosem, ma rozbiegane ręce i potrafi być ujmująco bezczelny. Rzuca kurwami jakby uczył się tego w szkole baletu.

W postać Joe go wcielił się Michał Marek Ubysz. Mały, nieśmiały, w garniturze i z teczka. Trudno uwierzyć, że to on. Zaczyna wyglądać na Ubysza dopiero, gdy się odzywa. No i wtedy zwala z nóg. Niełatwo zagrać człowieka, który ciągle udaje: przed żoną, przed sobą, przed znajomymi. A równocześnie ma zasady tak nieugięte, że nie wiadomo, jak pomieściły się w tym człowieczku z wypiełgnowanymi dłońmi, ułożoną twarzą oraz stopami, które łączą się nienagannie, gdy ich właściciel siada na krześle.

Priora gra Sławomir Maciejewski. Cyniczny i samotny, doskonały w swoim umieraniu wśród żywych, homoseksualista z godnością. Gdyby nie choroba, byłby najszcześniejszym bohaterem tej sztuki.

I właśnie dzięki nim tak się dzieje, że jeśli nawet trudno w Fiedorowe „Anioły...” uwierzyć, na pewno warto je zobaczyć.

ANITA CHMARA

Teatr im. Wilama Horzycy, „Anioły w Ameryce” Tony’ego Kushnera, reż. Marek Fiedor, scenografia Monika Jaworowska, muzyka Tomasz Hynek, premiera 30 września 2000 r.